

Z PKF przez Polskę i świat – Indie 1972

12 maja 2019

Opowieść o pracy w Polskiej Kronice Filmowej i życiu w PRL.

W styczniu 1972 roku, dzięki uprzejmości Jana Mitreği, wicepremiera, ministra górnictwa i energetyki, który wybrał się na inspekcję polskich załóg budujących kopalnie i zakłady przemysłowe nad Gangesem, a także na rozmowy z rządem pani Indiry Gandhi, wylecieliśmy do Indii. Szef Polskiej Kroniki Filmowej, Michał Gardowski, kazał nam „przy okazji wpaść” do Dhaki, bo dowiedział się, że powstaje tam nowe państwo.

Towarzyszyliśmy wicepremierowi tylko do New Delhi. W stolicy Indii zamieszkaliśmy w najlepszym wtedy, luksusowym hotelu, „Ashoka, „(czytaj – Asioka). Hotel nosi imię słynnego króla nieprzypadkowo. Król Ashoka jest uznawany za największego budowniczego Indii, stworzył on nie tylko nowy styl w budownictwie, zaśląnął z nowoczesnych rozwiązań w budownictwie i jest do dziś czczony przez współczesnych Hindusów. W młodości Ashoka wyróżniał się odwagą, walecznością i okrucieństwem. Toteż ojciec, król Bindusara, wysyłał go do tłumienia zbuntowanych prowincji. Młodzi-zdolni są z reguły żądni władzy, więc doświadczony tata mianował syna namiestnikiem prowincji północno-zachodniej, której stolicą był znany ośrodek uniwersytecki, Taksila. Upiekł w ten sposób dwie pieczenie przy jednym ogniu: pozbył się krewkiego synka i uniknął detronizacji. Po śmierci Bindusary młody Ashoka przejął władzę i natychmiast przeprowadził, mówiąc językiem współczesnym, lustrację: uśmiercił swoich przyrodnych braci, którzy mogli przecież spiskować bądź zorganizować się w opozycję. Dzięki tym prostym zabiegom poczuł się bardziej bezpieczny, więc wszystkie siły poświęcił budowie potęgi imperium i rozszerzaniu jego terytorium. Nie zwlekając, wyruszył na podbój Kalingi i mimo wytrwałego oporu napadniętej

ludności odniósł zwycięstwo. Armie Ashoki dopuściły się okrutnej rzezi. Sto tysięcy ludzi zabito w walce. „Gdy Ashoka się o tym dowiedział – pisze w *The Discovery of India* Jawaharlal Nehru – opanowały go wyrzuty sumienia i powziął odrazę do wojny. Jako jedyny spośród zwycięskich monarchów i wodzów świata postanowił przerwać zwycięską wyprawę wojenną. Całe Indie uznały jego zwierzchność z wyjątkiem południowego skrawka, a i ten mógł łatwo stać się jego zdobyczą. Ale Asioka zaniechał dalszych podbojów i umysł jego pod wpływem nauki Buddy, zwrócił się ku zdobyczom i badaniom w innych dziedzinach”. Wtedy właśnie narysował koło, które wdzięczni potomkowie umieścili na fladze Indii współczesnych. Imperator Ashoka (273– 232 p.n.e.) stał się głosicielem idei dharma, czyli sprawiedliwości i prawa – idei, która miała zapewnić wszystkim podwładnym szczęście. Jego nowe poglądy współbrzmiały z modnym wówczas buddyzmem, co pozwoliło temu prądowi swobodnie rozwijać się na terytoriach Ashoki. Okrutny w młodości Ashoka, zmienił się do tego stopnia, że zaczął głosić ahimsę, czyli ideę niestosowania przemocy fizycznej – a co najważniejsze– przemocy umysłowej i mentalnej! „Ten zadziwiający władca – pisze Nehru – kochany dotąd w Indiach i wielu częściach Azji, poświęcił się szerzeniu nauki Buddy, prawości i współczucia, a także społecznej działalności dla dobra narodu.” H.G. Wells w książce „*Outline of History*” napisał: „Wśród dziesiątek tysięcy imion monarchów, zapełniających karty historii, wszystkich tych cesarskich i królewskich mości, światłości, wysokości... imię Ashoki świeci, i to prawie samo jedno, jak gwiazda... Więcej żywych ludzi czci jeszcze dzisiaj jego pamięć, niż słyszało kiedykolwiek imię Konstantyna lub Karola Wielkiego”.

To wspaniałe moralne przesłanie przetrwało do czasów nam współczesnych. Najlepszym przykładem może być Mahatma Gadhi, który bez stosowania przemocy, pokonał największe imperium kolonialne świata, krótko mówiąc, United Kingdom. W czasie pobytu w Indiach doświadczaliśmy dobrodziejstwa tej idei na każdym kroku. Nigdzie na świecie nie ma tylu religii, co w

Indiach i takiego mnóstwa bogów jak nad Gangesem. Różnorodność i tolerancja rzucała się w oczy przez cały czas pobytu w New Delhi.

Na Chandni Chowk – głównej arterii komunikacyjnej i handlowej w Starym Delhi, gdzie współżyją obok siebie różne szkoły filozoficzne i religie, poznaliśmy przemiłego astrologa, z białą, majestatyczną brodą, który za kilka rupii przepowiedział nam przyszłość, a uczynił to w tak nadzwyczajny i sympatyczny sposób, że uwierzyliśmy, przynajmniej chwilowo, w jego super optymistyczne przepowiednie.

Nie wspominałbym o tym drobnym zdarzeniu, gdyby nie dziennikarz z Polskiej Agencji Prasowej, towarzyszący premierowi Mitrędze w charakterze oficjalnego sprawozdawcy. Otóż ten młody kolega, uszczęśliwiony, że zobaczy Indie, przez cały czas długiej podróży (samolot „Ił – 18”) przeżywał istne katusze zostawił, bowiem w Warszawie żonę, którą poślubił zaledwie dziesięć dni przed wylotem do Indii. Jego sercem targały różne uczucia: miłość i zazdrość, ciekawość świata i zwyczajne obawy młodego żonkosia. Postanowiliśmy mu przyjść z pomocą. Opowiedzieliśmy astrologowi cierpienia młodego dziennikarza i męża w jednej osobie, pytając jednocześnie, czy ma na te dolegliwości jakieś lekarstwo? Zgodził się wyleczyć naszego kolegę podczas jednej sesji, poprosił jedynie o podanie imion – delikwenta i jego wybranki. Za niewygórowane honorarium, astrolog ów dokonał niemal cudu. Kolega po półgodzinnej rozmowie był tak szczęśliwy, że zaprosił nas na whisky. Na przyjęciu, które zamierzał pokryć z własnej (bardzo skromnej) dziennikarskiej diety, opowiadał z przejęciem w głosie, że astrolog dwukrotnie wymówił prawidłowo imię jego ukochanej żony – Ilona. Po skończonej biesiadzie sięgnął do portfela po rupie, nie wiedząc, że goście „Ashoki” nie płacą tylko podpisują rachunki. Byliśmy bądź, co bądź gośćmi indyjskiego rządu.

Wicepremier, Jan Mitręga, a z nim młody dziennikarz, polecieli odwiedzić polskich górników, a my, dzięki pomocy pana

ambasadora PRL w Indiach, Wiktora Kineckiego, i konsula w Dhace, pana Jerzego Szpunara, który na szczęście dla nas był akurat w stolicy Indii, udaliśmy się do Kalkuty, gdzie cztery dni czekaliśmy na okazję, by dostać się do Bangladeszu (dawniej Pakistan Wschodni). Wieczory Sławek Sławkowski, operator PKF umilał nam opowiadaniem o pierwszym swoim pobycie w Indiach. Przyleciał tu z premierem Józefem Cyrankiewiczem, składającym oficjalną wizytę państwową na Cejlonie, który był wówczas republiką demokratyczno-socjalistyczną, a następnie miał udać się do Indii. Samolot rządowy popsuł się (to już chyba polska tradycja) w stolicy Cejlonu, Kolombo, i delegacja nie miała czym lecieć do New Delhi. Z pomocą przyszli Amerykanie. Zaoferowali premierowi pasażerski samolot wojskowy. Józef Cyrankiewicz propozycję przyjął. Przed samolotem czekała na polską delegację pięcioosobowa załoga. Po krótkim wojskowym powitaniu maszyna US Air Force wzbiła się w powietrze i wzięła kurs na New Delhi. Po godzinie lotu kapitan wraz z całą załogą, szampanem i kieliszkami pojawił się w pasażerskiej części statku, aby uczcić ten szczęśliwy i zaszczytny – jak powiedział – traf, iż leci z premierem Polski. Ale zamiast uśmiechów, na twarzach pasażerów dostrzegł, nazwijmy to dyplomatycznie, poważne zaniepokojenie. W tym właśnie momencie wicepremier zapytał dowódcę, kto prowadzi samolot, skoro cała załoga pije szampana? „Pilot automatyczny – odpowiedział kapitan. – Proszę się nie niepokoić, jest on precyzyjniejszy od człowieka”. Następnie dowódca samolotu spokojnie objął, na czym polega praca automatycznego pilota.

Kalkuta, nazywana w tamtych latach (1972 r.) miastem pałaców, ale także dnem piekieł, była w istocie miejscem, które nas poraziło. Urodzeni i wychowani nad Wisłą, niewiele wiedzieliśmy o bogactwie wolnego świata, nie mieliśmy też najmniejszego pojęcia o ogromie ludzkiej nędzy. Tu, w Kalkucie, zobaczyliśmy na własne oczy i jedno i drugie – bogactwo Birli i Taty i przerażające slumsy wydziedziczonych, które rzeczywiście można porównać z dnem piekieł. Całe

dzielnice wielomilionowej Kalkuty zamieszkiwali nędzarze. Zamieszkiwali, to chyba nieadekwatne słowo, sugerujące, że mieli marny, ale jednak dach nad głową. Tymczasem w dzielnicach nędzy wygłodniałe szkielety ludzkie wegetowały pod gołym niebem. Na ich twarzach nie było widać nawet rozpacz, były to twarze ogarnięte bezgraniczną rezygnacją, odrętwieniem i agonią śmierci. Wstrząsające wrażenie wywarły na nas wychudzone, nagie dzieci, umierające na gołej ziemi i ich matki zrozpaczone, iż nie mogą im przyjść z pomocą. W styczniu, w Kalkucie, temperatura w dzień dochodzi do 30 stopni w cieniu, przy wilgotności powietrza przekraczającej 90 procent, w nocy zaś spada do 10-12 stopni. W dzielnicy, gdzie znajdował się nasz hotel, a więc nie w strefie slumsów, samochody służb sanitarnych bardzo wcześnie rano zbierały z chodników ciała martwych nędzarzy, którzy nie przetrwali głodu i chłodu nocy.

Dopiero w kalkuckich dzielnicach nędzy zrozumiałem, jak obiegowe opowiadania o indyjskich „świętych krowach”, których nie wolno ruszyć, czy przepędzić są płytkie i powierzchowne. Tu, w świecie, gdzie jedni umierają z przejedzenia, a inni z głodu, święte krowy korzystające z immunitetu spełniają dobroczynną, zbawienną rolę. Często są one ostatnim ratunkiem dla nędzarzy, dają im wszak mleko i opał. Łatwo w Indiach pstryknąć zdjęcie świętej krowy stojącej na ruchliwym skrzyżowaniu ulic i policjanta, który jej nie przepędza, mimo że blokuje ruch, ale trudniej, a może wręcz niebezpiecznie, jest zrobić zdjęcie, gdy biedacy skrzętnie zgarniają dłońmi odchody świętej krowy, formują je w krążki i suszą, by w czasie porannego chłodu rozpalić ognisko i ugotować dzieciom ciepłą strawę. Jeszcze trudniej zrobić zdjęcie, gdy biedna kobieta doi świętą krowę. Ja w tej nietykalności świętych krów, w Indiach, dopatruję się jakiegoś przejawu sprawiedliwości, w bezwzględnym świecie miliarderów i nędzarzy. Już tylko z kronikarskiego obowiązku dodam, że w bogatych i sytych dzielnicach miast indyjskich nie spotyka się świętych krów, widocznie upodobały sobie rezerwy nędzy.

Victoria Memorial, pyszny pałac z białego marmuru, z potężną kopułą w środku i czterema wieżami w rogach, wzniesiono na cześć królowej brytyjskiego imperium. Park otaczający budowlę utrzymany w stylu angielskim, stał się szybko ulubionym miejscem spacerów elit Kalkuty. Mieliśmy do wyboru cztery środki lokomocji – tramwaj, autobus, riksę i taksówkę – by dotrzeć do budowli symbolizującej potęgę imperium, w którym nigdy nie zachodziło słońce. Tramwaj i autobus odpadły ze względu na tłok panujący w miejskich środkach lokomocji, riksza – ze względów moralnych, nie mogliśmy wyobrazić sobie jazdy riksą ciągnioną przez bosonogiego, wychudzonego kulisa. Taksówką dojechaliśmy po długim i mozolnym przebijaniu się przez zatłoczone ulice miasta.

Jeszcze nie zdążyliśmy wymazać z zakamarków pamięci obrazów wywiezionych ze slumsów i obozów uchodźców ze Wschodniego Pakistanu, gdy naszym oczom ukazały się widoki niczym z rajskiej sielanki. Spacerując czystymi alejkami wśród egzotycznych kwiatów nie spotkaliśmy ani jednego nędzarza i ani jednej gromadki żebrzących dzieci. Zobaczyliśmy natomiast mnóstwo wytwornych dam, ubranych w bajecznie kolorowe sari, eleganckich gentlemanów, dzieci syte i szczęśliwe. Te dwa odległe i obce sobie światy dzieliło zaledwie kilka mil.

W 1972 r. w Indiach żyło 550 milionów ludzi i prawie tyleż problemów czekało na rozwiązanie. Po powrocie z Dhaki znowu zamieszkaliśmy w hotelu „Ashoka”, przez dwa tygodnie byliśmy bowiem gośćmi pani premier Indiry Gandhi.

Ambasador PRL w New Delhi, Wiktor Kinecki, którego pani Gandhi bardzo ceniła i lubiła, sprawił, że zgodziła się, by Polska Kronika Filmowa robiła zdjęcia w jej gabinecie. Jak zawsze w takich razach, przyjechaliśmy do siedziby pani premier Indii kilkanaście minut wcześniej, aby broń Boże, nie spóźnić się z filmowaniem. Przywitał nas szef gabinetu i poprosił, aby nie zadawać jej pytań, zachowywać się bardzo cicho i nie rozmawiać między sobą. Gdy czekaliśmy w sekretariacie, szef gabinetu zajrzał przez wziernik wmontowany w drzwiach i dał mi znak

ręką, bym podszedł do drzwi i spojrzeć przez wziernik. Zdumiony, zobaczyłem Indirę Gandhi zmieniającą sari. Przebierała się do zdjęć. Przebywaliśmy w gabinecie nie dłużej niż 20 minut. Pani premier pracowała siedząc za biurkiem, przeglądała korespondencję, w pewnym momencie wstała podeszła do półki z książkami, poprosiła szefa swojego gabinetu, zadała mu jakieś pytanie. Zachowywała się po prostu naturalnie.

Po skończonych zdjęciach, kiedy z szefem piliśmy herbatę, zapytałem go, dlaczego prosił o to, aby nie zadawać pytań i nie rozmawiać? „Według hinduskiego zwyczaju, milcząc lepiej się rozumiemy” – odparł z pełną elegancją.

Codziennie rano pod hotel „Ashoka” podjeżdżał ogromny samochód osobowy. Jego kierowca, nadzwyczaj uprzejmy Sikh, w turbanie, pomagał nam pakować sprzęt do bagażnika i wyruszaliśmy w drogę, by odkrywać Indie.

Pierwszego dnia skierowaliśmy się do Chandigaru, stolicy Pendżabu, uznawanego za najbogatszy stan Indii, w którym rolnictwo osiągało najlepsze wyniki w kraju.

Najpierw kilka słów o mieście zrodzonym z marzeń Jawaharlala Nehru, pierwszego premiera niepodległych Indii, także dlatego, że w realizacji wizji nowoczesnego miasta miał swój udział architekt Maciej Nowicki, który przygotował szkice budowy Chandigaru, nadał wizji Nehru pierwszy kształt. Zginął, niestety, w 1950 roku w katastrofie samolotu, a realizacją marzeń zajął się Le Corbusier, znany na całym świecie z nowatorskich, rozwiązań architektonicznych. W roku 1972, budowa stolicy Pendżabu nie została jeszcze zakończona, ale miasto żyło, działała administracja, funkcjonował handel, młodzież uczęszczała do szkół zorganizowanych według wzorów europejskich – nie obowiązywały mundurki, jak na przykład w szkołach w New Delhi.

Problem oświaty w Indiach pozostawał jednak ciągle otwarty. Nie wszystkie dzieci miały szczęście uczęszczać do szkoły.

Powszechnym nauczaniem w zakresie czterech klas planowano objąć dzieci w całym państwie dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych!

W latach siedemdziesiątych Indie, podobnie jak cała prawie Azja, przeżywały okres zielonej rewolucji. Sprowadzono nad Ganges nowe odmiany wysoko wydajnej pszenicy, wyhodowane w Meksyku, i równie wydajne ziarno ryżu zwanego „I-r”. Wzrosły gwałtownie plony. Indira Gandhi mogła zakomunikować społeczeństwu, że Indie rezygnują z importu amerykańskiego ziarna i podejmują walkę z głodem. W tej zielonej rewolucji, w jakimś bardzo drobnym stopniu uczestniczyła Polska. Na polach Pendżabu spotkaliśmy nasze „ursusy”.

W Patialii, powiatowym mieście, gdzie działała stacja obsługi firmy „Escarts”, dowiedzieliśmy się, że w ubiegłym roku sprzedano tu 200 ursusów, a w całym stanie ponad tysiąc. Ku naszemu zaskoczeniu, ale i radości usłyszeliśmy, że ursus wygrał konkurencję z traktorami czechosłowackimi, radzieckimi, amerykańskimi i japońskimi! Informację tę przypisywałem uprzejmości moich rozmówców. Potwierdził ją jednak sam ambasador Kinecki. Widząc moje niedowierzanie, wyjaśnił: „Ursus wygrał, bo jest bardzo prosty i w obsłudze, i w naprawie, a trzeba pamiętać, że większość hinduskich rolników to analfabeci”. W roku 1972, na polach Indii pracowało 40 tysięcy polskich traktorów!

Rolnictwo Indii wchodziło w fazę wielkich przemian. Na ziemię czekały sto trzy miliony bezrolnych chłopów, ale reforma rolna bardzo się ślimaczyła. Większe sukcesy odnotowywały Indie w sektorze technicznym: nawodnieniu pól. Zamiast siedmiu tysięcy studzien zasilających pola w wodę pracowało już sto dwadzieścia tysięcy, wzrosło zużycie nawozów. Na wielką skalę przeprowadzano prace irygacyjne. Przy pomocy Rosjan budowano kanał nawadniający z Pendżabu do Radżasthanu o długości 200 kilometrów. W każdej dziedzinie życia Indie podejmowały wyzwania współczesności, likwidując przeżytki czasów feudalnych i kolonialnych. Parlament Indii zniósł kasty i

zrównał wszystkich obywateli wobec prawa. Premier Indira Gandhi pozbawiła feudalnych przywilejów 278 maharadzów, nababów i nizamów. Rząd przestał im wypłacać z państwowej szkatuły pensje, które w ciągu dwudziestu trzech lat niepodległości pochłoneły 200 milionów dolarów! W kraju, gdzie tysiące ludzi umierało z głodu na ulicach! Nie obeszło się bez walki. W 1970 roku po burzliwej debacie izba niższa parlamentu uchwaliła poprawkę do konstytucji, znoszącą przywileje wysoko urodzonych książąt... izba wyższa uchyliła tę decyzję! W tej sytuacji dopiero prezydent Giri specjalnym dekretem pozbawił wysoko urodzonych przywilejów.

W centrum New Delhi samochód prowadzony przez uprzejmego Sikha nagle się zatrzymał, z naprzeciwka nadjeżdżał elegancki wóz z czerwoną tablicą rejestracyjną i chorągiewką z heraldycznymi znakami. W środku siedział prawdziwy maharadża. Pozbawieni przywilejów błękitnokrwieści w ten choćby sposób podkreślali swoją odrębność. Jeszcze dwa lata temu korzystali z pierwszeństwa przejazdu, a policjanci musieli im oddawać honory salutując. Nie byłem pewien, czy kierowca tak gwałtownie zahamował, bo chciał pokazać nam samochód maharadży, czy może z nawyku. Zwykle trwają one bardzo długo w ludzkich sercach i umysłach. Kiedyś w Dżajpurze obserwowałem taką oto scenę: na biurku wyższego rangą urzędnika przez długą chwilę dzwoni telefon, ale siedzącemu za biurkiem mężczyźnie nie drgnęła nawet ręka. Ogłuchł, czy co pomyślałem zdumiony. Tymczasem urzędnik najspokojniej czekał, aż podbiegnie chłopak i poda mu słuchawkę. Po skończonej rozmowie nie położył jej na widełkach, lecz oddał słuchawkę czekającemu kornie chłopakowi.

W New Delhi do bogatej dzielnicy, Sunder Nagar, od rana ściągali biedacy, aby z okazji ślubu wnuczki Birli, drugiego na liście najbogatszych ludzi Indii, otrzymać na wielkim zielonym liściu, zastępującym talerz, trochę pożywienia przygotowanego specjalnie dla ubogich. Ten ślub był w mieście nie lada wydarzeniem, mogliśmy obejrzeć cały piękny i bardzo długi ceremoniał zaślubin, a także najbogatszych ludzi Indii.

Pod ogromnym namiotem rozbitym na zielonym placu, oświetlonym różnobarwnymi lampionami zgromadziła się najbogatsza elita Delhi. Pracownik ambasady, który nas tu przywiózł, po drodze pokazał nam kilka innych ślubów, gdzie pan młody przyjeżdża do swojej wybranki na białym koniu... Tu przybył wytwornym, kremowym rolls-royce'm – jego ojciec plasował się na liście najbogatszych ludzi w Indiach na trzecim miejscu.

Na marginesie dodam, że zamieściliśmy temat w kronice 11B/72 o tym egzotycznym dla nas ślubie, przekazując widzom nieco interesujących szczegółów. Na przykład, że datę ślubu ustalili astrologowie, że zaproszono 3000 gości, liczby posiłków wydanych biednym nie udało się ustalić. Z pewnością zapomniałbym o wydarzeniu, gdyby nie to, że pewnego dnia otrzymałem list z Bombaju, w którym ojciec pana młodego prosił o sprzedaż mu materiału filmowego ze ślubu jego syna. Kronika nie zajmowała się handlem, zwróciłem się, przeto z zapytaniem do Naczelnego Zarządu Kinematografii, ile dolarów można wziąć za temat zamieszczony w PKF i materiał, który nie ukazał się na ekranie. Ani NZK, ani Film Polski nie potrafili mi odpowiedzieć, dając do zrozumienia, iż nie powinienem zabierać im drogocennego czasu stawianiem głupich pytań. Na szczęście utrzymywaliśmy wymianę z kroniką filmową w Bombaju, wysłałem tam materiał z prośbą, aby przekazali go panu D. Otrzymałem list z podziękowaniami, w którym autor z podziwem wyrażał się o mojej hojności. Uznał, że muszę być bardzo bogaty, skoro podarowałem mu taki ważny i drogi prezent! Nie podtrzymałem korespondencji. Cóż mogłem napisać? Że to nie ja jestem bogaty, ale Polska Ludowa, która ma urzędników potrafiących handlować statkami, no i może także traktorami, ale nie tego rodzaju drobiazgami.

Ostatnie dni pobytu poświęciliśmy turystyce, odwiedzając Agrę i Kadżurao. W Agrze podziwialiśmy grobowiec z białego marmuru, Taj Mahal, który jest świadectwem romantycznej, wzruszającej do łez miłości króla.

W Kadżurao, świątynie poświęcone miłości fizycznej,

przedstawionej na płaskorzeźbach w wyrafinowany i piękny sposób przez ówczesnych artystów. Erotyczne płaskorzeźby ze świątyni w Kadżurao niektórych turystów z nad Wisły kompletnie zwalają z nóg.

Nasza podróż po Indiach zbliżała się ku końcowi. Pobieźnie mogliśmy poznać wielkość Indii, przeszłość kraju, której wymownym świadectwem są wspaniałe budowle i dzieła sztuki. Dzieła wzniesione w ciągu wieków są świadectwem nie tylko wielkości Indii, mówią także o odwadze myślenia i tak tu szanowanej różnorodności. Nie bez zdziwienia stanąłem jednak w Starym Delhi przed skromnym grobem, Mahatmy Gandhiego. Człowieka, którego uznaje się tutaj za niekwestionowanego twórcę Indii współczesnych. Nie pozostawił po sobie wspaniałych budowli (nie lubił przepychu, nie korzystał z olbrzymiej świątyni, którą zbudował dla niego Birla), żył jak większość jego rodaków, w wielkiej skromności, co go dotąd wyróżnia wśród charyzmatycznych przywódców politycznych i religijnych świata.

Jawaharlal Nehru w „Odkryciu Indii” wystawia swojemu mistrzowi najwspanialszy pomnik, pisząc: „Pod wpływem Gandhiego pojęcie wolności politycznej przybrało nową formę i uzyskało nową treść. Nie wszystko, co głosił, przyjmowaliśmy bez zastrzeżeń, a niektóre jego zapatrywania czasami zupełnie odrzucaliśmy. Ale nie to było najważniejsze. Nauki Gandhiego tchnęły duchem nieustraszoneści i prawdy, ich istotną treść stanowiło nawiązywanie do czynu i troska o dobro mas. W naszych starych księgach czytaliśmy, że największym darem, mogącym się stać udziałem jednostki lub narodu jest abhaj, nieustraszoneść, nie tylko odwaga fizyczna, ale śmiałość umysłu. W zamierzonych czasach naszych dziejów Czanakja i Jadźniawalkja głosili, że zadaniem przywódców ludu jest uczynić go nieustraszoną. A tymczasem pod rządami angielskimi w Indiach dominującym uczuciem był strach, strach do głębi przejmujący, ugniatający piersi, chwytający za gardło. Strach przed wojskiem i policją, przed szeroko rozgałęzionym tajnym wywiadem. Strach przed

urzędnikami. Strach przed zarządzeniami prawnymi, zwiastującymi represje. Strach przed więzieniem. Strach przed administratorem właściciela ziemskiego. Strach przed lichwiarzem. Strach przed bezrobociem i głodem, które zawsze czyhały u progu. I temu właśnie wszechwładnemu strachowi Gandhi rzucił wyzwanie, napominając Indów spokojnym, ale stanowczym głosem: „Bądźcie nieustraszeni”.

Autorstwo: Mirosław Chrzanowski

Źródła: Trybuna.info, Pekaefczyk.com